Rozmaitości

Dnia 6. Sierpnia **Nr 32.** 1836 Roku.

SAMUEL BACH, KSIĘGARZ.

Jako przedmowa do dzieła: *Il Vivere*, napisanego przez Teofila des Ferrieres.

(Dokończenie.)

NIEMCY.

Pan Ralfbergen odbywał podróż po Włoszech. Byłto bardzo dobroduszny Niemiec, który się zawsze uśmiéchał, i zawsze jezdził z swoją żoną i trojgiem dzieci. Ich guwerner był im umarł w Neapolu, ponieważ do zbytku zakosztowawszy *lacrima Christi*, za nadto zbliżył się do krateru Wezuwijusza. P. Ralfbergen skłonił mię, abym z nim jechał do Norymbergi, i tam podjął się wychowania jego dzieci. Ja, który już dosyć napatrzyłem się Włoch i Włoszek, nasłuchałem kanconetów i skrzypców; nie dałem się prosić długo. Wsiadłem w berlinkę mojego Niemca, uczyłem się spiewać *Lieder* od jego żony, i rozmawiałem z jéj dziećmi po francuzku. Zwidziwszy modre skały Tyrolu i napatrzywszy się Tyrolczykom, którzy w pole do pracy i na krwawe bitwy ciągną przy odgłosie spiéwów, jakżeż się nie ucieszyłem, postrzegłszy katedrę Norymbergi. Znalazłem tu białe, nic nie mówiące twarze z jasnémi włosy, uśmiéchające się do mnie z taką dobrodusznością, jak pan Ralfbergen, i tak mi poważnie spiewające swoje *Gesänge* i *Lieder*, jak pani Ralfbergen, a przytém ogromnie pijące piwo i karmiące się mięsem.

Niemcy są rajem, gdzie każdy jest tłusty, wesoły, spokojny, i poeta. Człowiek żyjący tam rozumié, jak drugi Adam, język kwiatów, obłoków, robaczków i ptaków. W powietrzu, którém oddycha, widzi tysiące pląsających czarodziejek i często rozmawia z anioły i Bogiem. Dopiéro w Niemczech pojąłem po raz pierwszy, jakto naród może miéć niejakie podobieństwo ze zwyczajnym, ulubionym sobie napojem. Przypatrzmy się szklance niemieckiego piwa; jaki gęsty, ciężki płyn materyjalny! to najprzód w oczy uderza. Ale w tym płynie skaczą świetne jak iskry atomy, delikatne i cienkie jak włókna jedwabiu, a pianka lekka, przejrzysta, ozłocona jak obłok na wschodzie, pryska perłami nad brzegi szklanki.

HOFFMANN.

Pewnego dnia przywieziono do pana Ralfbergen z jego dóbr przepysznego indyka, któregośmy zjedli na wety przy licznych libacyjach piwa i reńskiego wina. Pani Ralfbergen rozmyśliwała o *królu dębów*, który dusi maleńkie dzieci; pan Ralfbergen o upiorach, pijących krew czerwoną; a ja widziałem tysiące gnomów i demonów wszelkiej barwy, skaczących w promieniu słonecznym.

Jakiś niebieskawy odblask uderzył mię w oczy; obróciłem się i ujrzałem nowego gościa, który po środku nas usiadł; jego czara z ponczem płonęła płomieniem. Nieznajomy ten był nizki a gruby, z małpią twarzą. Zadumany patrzył w płomień i uśmiéchał się, paląc lulkę niesłychanéj długości. Pan Ralfbergen zdał się być zajęty bardzo tym przybyszem; pani Ralfbergen wpatrywała się w niego z podziwieniem, a dzieci powstały z miejsc swoich od stołu i ścisnęły się około jego krzesła. Nieznajomy mówił o kotach, księżniczkach, fejach, listkach, obłokach, o świécących robaczkach, topazach, szmaragach; potém wstał, grał na fortepianie, nócił, spiéwał, miauczał, rysował aniołki, diabliki, radzców, filiżanki, dzbany, burmistrzów, karczmarzy; potém porwał mię za ramię i wyprowadził na ulicę. Poszedłem za nim do

piwnicy, gdzie piło trzech Niemców, którzy na przybycie nasze zagrzmieli chórem weselnym i wtórowali szklankami i kuflami. Jeden z nich był artystą dramatycznym, który nigdy dobrze nie grał, póki się piérwéj dobrze nie spił; drugi, metafizykiem, który w godzinie po obiednéj filozofiją swoją transcendentalną nazywał; a trzeci muzykiem, który piał, jak Syreny Homera i wydzwaniał nożem takt po naszych szklankach. Trudno mi opisać wszystkie mrzonki, snujące się przed mojém okiem, wszystkie błędne ogniki, igrające na mych rzęsach, wszystkie iskry, wyskakujące z oczu moich. Spiéwy ustały... Zdało mi się, jakby wietrzyk świéży muskał mię po licach; jakby czarne chmury przesunęły się po mojém czole... zarazem usłyszałem gwar pomieszany: »Trzymajcie go mocno, bo spadnie!« potém łoskot jakiś zgiełkliwy, potém głośny chychot — a potém..... »Wćpan podchmieliłeś sobie?« zagadł mię malarz.

Podobnoś! panie Lionel.

»I układałeś powieść fantastyczną...«

Zgadłeś! bo kiedym powrócił do zmysłów, przekonałem się o podróży, którą duch mój odprawił w krainę marzeń; było już późno, przyszedłem do domu pana Ralfbergen; wpadłem jak dziki człowiek do salonu, wywróciłem cały serwis porcelanowy, małemu szpicowi złamałem nogę, i rozbiłem nos jednemu z moich trzech uczniów, których Molochem, Astarothem i Mefistofelem nazywałem, a nakoniec puściłem się walca z szanowną ciotką pani Ralfbergen!... Pan Ralfbergen znalazł mię za nadto poetycznym, i za nadto Niemcem, abym dzieci jego miał uczyć po francuzku; jakoż nie długo opuściłem jego rajską kuchnię, jego dom przypominający wiek złoty, i jego żonę, która spiewała tak wybornie! Byłoto w czasach konzulatu; otrzymawszy wykreślenie mię z listy emigrantów, powróciłem do Francyi.

ZAWSZE I ZAWSZE GŁUPSTWA.

Hrabia F* był kawalerem orderu S. Ludwika, i służył niegdyś w pułku mojego ojca. Ojciec mój umizgał się do hrabiny F*, a jéj mężowi pożyczał pieniądzy; hrabia F* nigdy nie oświadczał się mojemu ojcu z chęcią oddania mu choćby jednego *pistola*, i to wypadło dla mnie bardzo szczęśliwie. Powróciwszy z emigracyi, zastałem moją małżonką dziedziczką dóbr moich, i zaślubioną z pewnym członkiem konwencyi. Ani złamanego grosza nie miałem przy duszy. Ale hrabia F* wypłacił mi dług, zaciągniony u mego ojca, a hrabina F* dała mi pomieszkanie w pałacu swoim w Paryżu.

Hrabina F* mogła mieć około lat 70; lubiła namiętnie zażywać tabakę i pieścić małe pieski. Małżonek jéj nosił harcop i biało-pudrowane włosy. Trzymał się prosto jak trzcina, chodził zwykle piechotą — dla zdrowia, i sam brodę sobie golił — z filozofii. Ani on, ani jego żona nie emigrowali z kraju; oboje posiadali wielki majątek, byli bezdzietni, i tak spaniałe dawali obiady, żeby się niemi sam pan de la Reyniére i minister Talleyrand nie powstydził. Każdego dnia bywałem na obiedzie u hrabiny F*. Mój sposób życia podówczas był następujący: Wstawałem o południu; jadłem śniadanie w swoim pokoju i czytałem gazety. O piérwszéj godzinie kamerdyner hrabiego F* przychodził mię fryzować, a o drugiéj schodziłem do hrabiny F*, którą zastawałem zwykle samą, bawiącą się z pieskiem. Pytałem ją, całując w rękę, o jéj zdrowie, pieściłem się z Medorem, który na mnie szczekał; potém, starając się wszcząć rozmowę siadałem, mówiłem o dészczu, o pogodzie; hrabina opisywała mi kolor i krój swojéj ślubnéj sukni, bytność swoją na dworze Ludwika XV., i zaklinała się, że Francyja od téj chwili zginęła, w któréj hrabia d'Artois zamiast woźnicy powoził królowę w karécie. Na to odpowiadałem: »Tak! zaiste! w saméj rzeczy! to zgubiło Francyję!« i pieściłem się z Medorem, który w nagrodę gryzł mi trzewiki i rękawiczki. O trzeciéj godzinie zbiérało się towarzystwo, i wolny już byłem do obiadu; stół bywał wyborny, jadłem za cztérech. Po stole wracano do salonu. Pani hrabina miała siostrzeniczki, które spiewały i grały na fortepianie. Rozprawiano, śmiano się; lecz o polityce, z bojaźni szpiegów, nie mówiono. Potém wnoszono stoliki do gry. Hrabina miała swego *bostona*; młodzież swoje *vingt et un* albo *trente et quarante*, a ja grałem zwykle partyję szachów z starym hrabią F*. O północy wszystko się rozchodziło; hrabina dopiero o trzeciéj szła do łóżka; jam przy niéj zostawał i czytałem książkę, lub słuchałem opowiadań o Ludwiku XV. i hrabi d'Artois.

Jużto ja w rozmaitych znajdowałem się położeniach, ale mogę zaręczyć, że obecne, jeżeli nie najświetniejsze, to przecież najszczęśliwsze było. Nicem nie robił, nicem nie myślił, słuchałem tylko i jadłem. Miałem swoją godzinę do jedzenia, swoją do słuchania: wszystkiém tém inna, nie moja rozrządzała wola. Szczęścieżby miało na tém się zasadzać, aby nie miéć woli, nie działać, nie myślić? a jednak jest jeszcze coś droższego, wznioślejszego niż być szczęśliwym: oto, być człowiekiem.

Niekiedy hrabinie przychodziła chętka jechania na *theâtre français* lub *Feydeau.* Zawsze siedziałem z nią w loży, i podawałem jéj rękę, gdy wsiadała do powozu. Hołd podziwienia oddawałem Talmie i pannie Duchesnois, lecz nigdy zabawić mię nie mógł ani Elleviou, ani Martin, ani piskliwe wrzaski opery komicznéj; Niemcy i Włochy zepsuły mię.

Hrabina miała jedną przywarę: lubiła grać rolę elegantki. Lokaje chodzili u niéj poubiérani jak książęta; łajała męża, jeżeli sobie rękaw splamił, sama ubiérała się jak bóstwo, i lubiła, jeżeli mówiono, że jéj salon najwykwintniéjszy w całym Paryżu. Co do mnie, wszystkich dokładałem usiłowań, aby się nosić przyzwoicie; lecz dochody tak miałem szczupłe, że mimo wszelkich usiłowań, jak najdłużéj obchodzić się niemi, częstokroć bywałem zagrożony niedostakiem przed końcem roku.

Pewnego dnia postrzegłem, że moje najnowsze spodnie już dosyć były nienowe, i że w moim najlepszym fraku przeziérały nici... Tegoż dnia częściéj, niż zwykle, lornetowała mię hrabina; patrzyła na mnie, rumieniła się i znowu patrzyła, i znowu się rumieniła. Północ wybiła, siedzieliśmy sami. Wziąłem do ręki książkę i czytałem. Hrabina była roztargnioną, niespokojną i zadumaną; schwytałem ją na uczynku, spostrzegłszy, jak oczy wlepiła we mnie z dziwnym wyrazem, co trwało przez cały wieczór. Nazajutrz znowu toż samo; już nie wiedziałem, co myśléć o tém. Jako! rzekłem, czy podobna? Hrabina, siedemdziesięcioletnia, czyżby mogła o tém pomyślić? Ach, biédny Samuelu Bach!... Zaledwie te wyrazy ostygły na moich ustach, gdy już krawiec wszedł do pokoju mego: »Panie baronie,« rzekł, »oto frak, kamizelka i parę spodni, którém zrobił dla pana.« — »Jakto? dla mnie!« zawołałem. — »Pani hrabina zamówiła je.« — »Ależ, przyjacielu...« — »Już zapłacone.« Spadłem jak z obłoków. Nadszedł wieczór. Swieżo wystrojony wchodzę na pokoje, oczy hrabiny jaśniały radością: »Jakże ci do twarzy,« rzekła do mnie z cicha, »nie uwierzysz, ile mi się podobasz.« Dobry Boże! pomyślałem; co tu począć, jak się z tego wywinąć?

Odtąd postanowiłem unikać wszelkiego sam na sam, udawałem cierpiącego i zajętego; równo ze wszystkimi usuwałem się z jéj towarzystwa około północy; nie zchodziłem tylko do stołu; nakoniec postrzegłem z radością, że hrabina daleko mniéj spoglądała na mnie, i że spoglądając nie wzdychała więcéj. Chciałem ją zupełnie uleczyć, i tym końcem pojechałem na cały tydzień do jednego z moich przyjacioł w Saint-Germain. Byłto wysłużony dawny muskietyjer, który był w emigracyi. Zbiérało się nas tam po pięciu lub sześciu, piliśmy tęgo, jedli do syta, wieczór siadaliśmy na konie, a rano polowaliśmy na zające; zdarzyło się, że z pięknym fraczkiem spadłem z konia w kałużę, i rozdarłem sobie spodnie na krzaku. Przybywszy do Paryża, pogodziwszy się naprzód z starémi sukniami, zeszedłem na dół, aby się dowiedziéć o zdrowiu hrabiny F*. Zastałem ją więcéj niż zwyczajnie smutną, zadumaną; spoglądała na mnie, i roniła westchnienia; rozpaczałem. Azeby ją rozweselić opowiadałem jéj swoją przygodę z konia, i smutny koniec fraka. Z największém współczuciem słuchała téj powieści, nakoniec wstała, wionęła kilka razy na swoją twarz wachlarzem i stuknęła kilkakrotnie w tabakierkę, dając znaki wielkiego wzruszenia. Na moje większe nieszczęście właśnie hrabia F* był wyszedł; obiadowaliśmy we dwoje, a hrabina rzekła do mnie: że dzisiejszego wieczora żadnych nie będzie miéć gości. Ile mogłem najdłużéj przeciągałem obiad. Rozprawiałem o Ludwiku XV., o pani Pompadour, o pani Chateauroux, o jezuitach, o Wolterze i parlamentach; nie ograniczając się już na samém słuchaniu, mówiłem i za nią i za siebie. Lecz niestety! potrzeba było raz przecież wstać od stołu, podać hrabinie ramię, i przejść do salonu. Pani F* usiadła i wydała głębokie westchnienie; o ile mogłem byłem ostrożny, trzymałem się od niéj w oddaleniu, stałem przy samym kominku. Tu nastała chwila milczenia; widno było, że to była dla nas obojga uroczysta godzina...

O nieba! pomyślałem, cóżto się ze mną stanie? Coto za okropność!... Ta kobiéta widzę zapomina, że ja jestem synem... że ojciec mój... O dobry Boże! jakże ona często zażywa tabakę!

Hrabina widocznie była w najżywszém wruszeniu... Zdawało się, że chce mi coś popowiedziéć, ale powiedziéć się lęka:

»Mości panie,« rzekła... Oczy nasze spotkały się; zarumieniony patrzyłem w ziemię. Czułem sam, że byłem pomieszany, co o tyle pogorszyło moje położenie, że musiałem aż usiąść. »Panie baronie,« rzekła hrabina; »nie wiém, ale ten wćpana rumieniec... to pomieszanie... Miałżebyś myśl moją zgadywać? Trudno, i my kobiéty... i my mamy swoje słabości... czujęto... że... że wyznać muszę wćpanu...«

»Pani!« zawołałem w śmiertelném udręczeniu.

»Nie uchodź wćpan, panie Bach!... zaiste, wstydzę się — sama nie wiém, jakbym mogła mu dać do poznania....

»Pani hrabino, błagam cię!...«

»Czasy rewolucyjne,« mówiła daléj, »wydarły ci wszystko, gdyby ten woreczek...«

Po tych wyrazach nie mógłem się wstrzymać już daléj. Powstałem, zbliżyłem się do hrabiny F* i rzekłem tonem patetycznym: »Łaskawa pani! obsypałaś mię dobrodziejstwy; kochać cię będę, póki mego życia; ale darmo! nie mogę czuć dla niéj... Pomniéj pani na przyjaźń, jaką hrabia F* mię zaszczyca! Z mojéj strony byłoby to haniebnie... okrutnie...«

Hrabina nie mogła wstrzymać się, aby nie parsknąć głośnym śmiéchem.

Widząc to, zgłupiałem. »Ależ szanowna pani... to wyznanie, ten woreczek?«

»Chciałam cię prosić, abyś sobie nowy frak sprawił.

FILOZOFIJA.

Odtąd nie śmiałem pani F* pokazywać się na oczy. Uciekłem na drugi koniec Paryża, zatopiony w dumaniach nad moją złą gwiazdą, która mi zawsze w chwili, kiedy szczęście zaczęło się cokolwiek do mnie uśmiéchać, jakieś głupstwo podszeptnęła. Teraz nie miałem ani dobrego stołu, ani dobrego łóżka, ani kamerdynerów, którzy mi przynosili gazety, i fryzowali perukę, ale zato miałem znoszone spodnie, wytarty surdut i kieszeń pustą. Z zadziwieniem postrzegłem, że mi lżéj było na sercu i swobodniéj, niż wprzódy. Byłem, jak ów student, który, w dniu wolnym od nauki patrzy na wschodzące słońce. Należałem do samego siebie, widziałem się zmuszonym działać i miéć wolą własną. Krew grała mi silnie po żyłach, pomysły cisnęły się nawałem do mózgu; uczułem w sobie coś żywszego, niż szczęście. Uczułem życie. W owychto chwilach zapuszczałem się często w tajniki filozofii. Poznałem nicość tego, co się zmienia w człowieku, a wielkość tego, co zostaje niezmiennem. W duszy mojéj jak w źwierciedle odbiło się życie moje we wszystkich kształtach. Ujrzałem siebie to z różowémi korkami dworaka, to w kamaszach ziemianina, to znowu jak tułającego się skrzypka, jak mistrza od skrzypców, jak nauczyciela, jak pieczeniarza hrabiego i hrabiny F*. W tych wszystkich kolejach losu poznałem swoje niezmienne Ja, które każdą przemianę wdziéwało i zrzucało jak suknię! To mi dodało odwagi i odtąd nie wiele ceniłem te przemijające kształty, zwłaszcza, że serce moje, jako człowieka, nie podpadło żadnéj zmianie. Śmiało! rzekłem, śmiało Samuelu baronie Bach, powinieneś nową wziąć na siebie postać!

Na świecie jak na balu, gdzie sami głupcowie...

Wczoraj byłeś wesołym, poważnym bądź dzisiaj. Zostałem korektorem w drukarni.

To com zarobił w drukarni, dodawszy do tego osobny mój dochód, zapewniało mi wygodne utrzymanie. Zostałem, o co bardzo łatwo, w zgiełkliwym, świetnym Paryżu, nie znanym pustelnikiem, i filozofowałem sobie podług własnego widzi mi się.

Człowieka z wyższym duchem nic tak nie śmieszy jak kiedy sobie przypomni, że błazeński kołpak, za którym gminne umysły gonią i na jego znajdował się głowie. Umiałem cenić wartość różnic społeczeńskich; przekonałem się, że prawdziwe towarzystwo tylko między myślącémi istotami zawiązać się może, i że pod tą ozłoconą powierzchnią życia ludzkiego, inne jest życie, które w oczach Boga rzeczywistém życiem. Cały świat materyjalny, podpadający pod zmysły, cała widoma i zewnętrzna postać państw, dla tego tylko przyszły do skutku, ażeby owemu tajemniczemu życiu, życiu, ducha i serca służyć za powłokę. Nie żałowałem tedy ani na chwilę owego w nędznéj hierarchii stopnia, z którego spadłem, kiedy się o jeden szczebel wyżéj do zgłębiania prawdy wznieść mógłem. Co więcéj jeszcze; obróciłem w kapitał mój szczupły

dochód, nabyłem patentu na księgarnię, założyłem czytelnię i nade drzwiami dałem napis: *Samuel Bach, księgarz*; podobnie jak Mirabeau, mój kum, nad swojemi napisał: *Mirabeau, kupiec sukna.*

Dziś nawet, kiedy pomyślnym handlem zebrałem dość znaczny majątek, za nic nie wróciłbym na wielki świat, i za nic nie przyjąłbym tytułu barona Bach. Stary już jestem, mam swój niezmienny tryb życia, uznałem go za dobry, i zostanę przy nim. Wzrok mój obejmuje wszystkie krańce ruchu umysłowego, który się wszczął w czasach dzisiejszych w filozofii i sztuce. Księgi, będące wyrazem tego wieku, sprzedają się w mojéj księgarni, albo czytają się w mojéj czytelni; autorowie cisną się do mego przedpokoju, jak do przedsionków jakiego króla.

POŁÓW HAJA.

W najszkaradniejsze pozwijane kłęby,
Rojem kipiały okropne straszydła;
To roch kolczaty, to tracz ostrozęby,
To młot potwora, straszna i obrzydła,
Kły wyszczérzając już się ku mnie wlekła,
Morska hyjena, haj, poczwara wściekła.

Szyller.

Haj jest wrogiem majtka, ale i majtek nienawidzi go z całego serca; ma też słuszne powody. Jeżeli *fryc* na pokładzie, chcąc opłukać ze soli mięsiwo lub sztokfisz, zwykłe jadło żeglarzy, włoży takowe w siatkę, i puści na falę bijącą koło okrętu, natenczas obiad majtków bywa zagrożony: pojawia się haj;... siwe jego ślepie wpatrują łakomo się w siatkę, któréj oczka wciągają morską wodę do wypłukania czerwoniawéj wędzonki. Pan haj już czatuje; széroka jego paszcza połyka siatkę całkiem, a powróz, na którym ta sieć wisiała, wolniéje, opada po biodrach okrętu. Woda już kipi, *fryc* chce dobyć swój obiad; patrzy, nié ma sieci, a obiad już podróżuje daleko gdzieś po innych wodach. Jeżeli który porządny majtek, zamiast położyć się w wiszące łóżko, i wyspać się po straży, przypomni sobie, żeto jutro niedziela, i weźmie się do prania swoich płóciennych spodni i czerwonéj koszuli, kiedy twarda szczotka do czyszczenia sukni zastąpi skąpo użyte mydło, kiedy potém zanurzy się bielizna w morze i wyda z siebie białą pianę; słowem, kiedy wszystko pomyślnie pójdzie, majtek zabiéra się do snu, bo jeszcze mu dwie godzin zostaje. A cóż wtedy haj robi? Majtek śpi, haj przybywa: już nié ma spodni, pięknie były wyprane, a haj miał czystą potrawę. I jakże tu nie wierzyć, że on jest największym wrogiem majtków? Czyliż oprócz tych ważnych zaskarżeń o rabunek obiadu i sukien, na każdym prawie okręcie nie krąży smutne jakie podanie o pożartym przyjacielu lub krewnym? Jeżeli biédny majtek po ciężkiéj chorobie, przyszedłszy cokolwiek do zdrowia, blady i ciérpiący, w dniu pogodnym dla nabrania świéżego powietrza, wyjdzie na pokład, i oparty o poręcze, przypatruje się błękitnym falom, nie postrzegaż on tam zielonawy tułów szkaradnego haja, który około okrętu się uwija i powierzchnią wody pletwami bije, jakby cieszył się, że mu choroba obiecuje dać trupa? Nie odstępuje on okrętu i przez kilka dni wciąż za nim płynie. Widmo to nie opuszcza biédnego majtka, nawet kiedy złożony chorobą w swojém wiszącém łożu leży: zawsze i zawsze widzi on haja. Ale zato, jeżeli mu się uda jakim chytrym sposobem zostać panem tego zaciętego wroga, nié ma mąk, którychby mu nie zadał! Bo też nienawiść jego nieubłagana, przechodzi z pokolenia — do pokolenia.

Z tego powodu do połowu haja przeznaczony hak, zawsze bywa dobrze zaostrzony i czysto wypolerowany, aby w każdéj chwili dopełnił swojej powinności. Zarządzca okrętu obowiązany miéć o nim staranie; a gorliwość jego i pilność są nie do opisania, skoro zażądają haka. Jestto prawdziwa uroczystość, kiedy panu hajowi przyjdzie coś do głowy płynąć w ślad za okrętem. Majtek, któryto spostrzeże woła na swoich towarzyszy: »Haj płynie! haj!« Ten okrzyk piorunem po całym rozbiega się okręcie. Zarządzca okrętu, zniknąwszy gdzieś na chwilę, przybywa na pokład z grubym żelaznym hakiem, przy którym jest także na kilka stóp łańcuch, i zastaje już zgromadzoną osadę. Oficér, który zeszedł z warty, a teraz szukał spoczynku, tak niezbędnego w mordującéj strefie pod zwrotnikami, widzi się być zmuszonym, wraz z drugimi wmieszać się do przygotowanéj sceny; podróżni rzucają na bok swoją nieustanną grę w warcaby; majtkowie spieszą na tylną część okrętu; jestto rewolucyja paryzka, tylko na mniéjszą stopę. Teraz w całym tłumie ciekawych wołają za kucharzem, który gdzieś się zapodział: »Kawałek słoniny! słoniny!« okrzyk się rozlega, a on na piérwszą wieść o zjawieniu się haja już poskoczył do swojéj spiżarni i w soloném mięsiwie szuka kawałka słoniny, która ma żarłoctwo potworu rozdraźnić. Nakoniec przybywa kucharz; słoninę umocowują na groźnym haku, powróz doświadczonéj mocy przywiązują do małego łańcucha, a wyrzucona ponęta pada z łoskotem w morze, przezco zwraca się uwagę haja. Jakoż w rzeczy samej, bijąc powierzchnię wody swemi pletwami, nadpływa coraz bliżéj. Haj płynie bystro; majtkowie drżą z niecierpliwości. Oficérowie, majtki, podróżni, stoją poszykowani w grona na brzegu statku, i zwracają spojrzenie

na rybę, któréj zielonawo-połyskający ogrom coraz się przybliża. Ponętę po kilkakroć wyciągają z wody i znowu wrzucają z pluskiem, i zwiérzę wprost do niéj zmiérza; chwila rozwiązania nie daleka. Już kilka kroków od niéj, już ją okrąża, zanurza, niby chce ją chwycić ze spodu, znowu się zbliża, i wietrzy. »Dobrato słoninka,« woła nań kucharz; »nie daj się prosić, skosztuj!« — »Będziesz miał i piórko do zębów!« dodaje który z majtków, trzymający za powróz, i który każdéj chwili jest gotów szarpnąć zań, skoroby haj chwycił słoninę. Haj łbem ociéra się o ponętę, poczém oddala się nieco, powraca i otwiéra, przewaliwszy się trochę na bok, swoją ogromną paszczę, na widok któréj chłopcy okrętowi i podróżni bledną; w tém słonina, hak i kawał łańcucha zniknęły w paszczy potworu; majtkowie potężnie targną wstecz sznurem, tak, że zakrzywione ostrze ogromnéj wędy w garle haja ugrąża, teraz szarpie on powrozem i zaczyna gwałtownie się wydziérać. Na okręcie powstają głośne okrzyki radości i zwycięztwa; szyderstwo i wzgarda spotyka zdradzone zwiérzę; morze pieni się około niego; boryka się całą siłą z powrozem, i coraz głębiéj wbija sobie żelazo. Haj rzuca się w górę, zakreśla koło na długość wyprężonéj liny; zanurza się piorunem w wodzie, lecz tylko coraz więcéj się kaleczy; w ciągłym oporze znowu na wiérzch wypływa, zdaje się jakby chciał doświadczać mocy powrozu, który go na śmierć zadzierzgnął. Tymczasem coraz mniéj targa się i zżyma, czasami powraca na powierzchnię i zatacza konające oko, które krwią zacieka i tylko na chwilę błyskawicę ciska. Majtkowie schylają się i z rozkoszą widzą ubytek sił swego wroga; sadzą się na żarty. Co za upokorzenie dla olbrzyma, długiego na stóp kilkanaście!

To piérwszy dopiéro akt dramatu; zwiérze nie doznało jeszcze całéj hańby, zgotowanéj sobie. Dziesięciu majtków ciągnie za powróz i podnosi haja nad wodą, który ponawia swoje skoki, wydziéra się i nie chce puścić się morza, z którego chcą go przemocą wyciągnąć; ogón jego chłosta powierzchnię wody i bryzga pianę aż na ciekawych widzów. Daremna praca! Oto już stracił punkt oparcia, już się nie rzuca, i pod własnym ciężarem upada. Niekiedy tylko kurcz go przeleci, ogón w powietrze machnie, drészcz wstrząśnie mu szczękami, osadzonémi na haku; ale coraz spokojniéjszym się staje, a jego ostatnie podrygi są jak łyskawice, migające podczas burzliwego wieczora na odległym widokręgu; w końcu całkiem ustają. Wielu majtków odeszło do swojéj pracy, a haj musi w powietrzu wisiéć. Jeden z jego zaciętszych wrogów wlewa mu wiadro wody w paszczę, zwiérzę ruszy się na chwilę i zwróci groźne spojrzenie na majtka, ten zblednie... lecz to jest tylko fanfaronada haja, bez żadnego skutku.

Tymczasem upływa cała godzina. Haj ani się ruszy; tułow jego ujęto powrozem, który się zadziérga w blizkości ogona, w miejscu, gdzie zwiérzę jest najsłabsze. Tak uwiązanego haja z obu końców, wyciągają z niezmiernym trudem, i przezornością na pokład. Wszyscy mająż go za nieżywego? Położony na pokładzie znowu się wije i rzuca; powróz, wiszący przy jego ogonie, jak bicz trzaska w powietrzu od gwałtownych zamachów; bije w pokład z taką siłą, żeby wszystko pokruszył, coby się doń zbliżyło; za głowę wleką go na środek okrętu, potok krwi czarnéj zostawia za sobą, który ogonem na wszystkie strony rozmiata; nikt nie śmie przystąpić zblizka, jedno uderzenie ogona złamałoby każdy członek. Przy głowie nié masz takiego niebezpieczeństwa, w szczęki przypadkiem zaplątał się koniec liny i zamienił się w kłaki. Najśmielsi i najciekawsi majtkowie wdziérają się na planki okrętu, a podróżni idą na szalupę, zkąd patrzą na pokład.

Ale już cieśla okrętowy wyostrzył swój topor, przystępuje do grona, które najbliżéj stanęło przy haju; ważna ta osoba wzgardliwémi żartami przedrwiwa z ryby, wycieńczonéj ostatniém wysileniem; topor się podnosi... i ogón od tułowu odpada. Teraz żadne niebezpieczeństwo nie grozi nogom ciekawych; podróżni schodzą ze szalupy i śmiało występują na krwawą scenę. Jedni zbliżają się do głowy i kawałki drewna kładą w paszczę; drudzy wydłubują oczy konającego potworu; jedno drgnienie szczęki nabawia ich trwogą. Tu dopiéro stary, doświadczony majtek wbija zwiérzęciu nóż kuchenny w ciało, i rozcina je od szczęki do dołu. Drészcz przebiega mięso, haj z bolu kąsa jeszcze kawał drewna w paszczy; kucharz przychodzi i dopomina się o swoją słoninę, aby okrasić majtkom wieczerzę.

Już przeszła chwila hucznéj radości z powodu połowu haja, ale nie wszystkie jeszcze minęły uciechy. Zwiérze zostaje sprawioném, wyjęte z niego jelita, pokazują się majtkom. Nadaremnie oficérowie nieustannie wypędzają próżniaków w jedną stronę, już oni znowu z drugiéj wchodzą. Życie żeglarza tak jest jednostajne, że z każdéj korzysta rozrywki, którą mu przypadek nastręczy. Jeżeli się poszczęści złowić haja, majtek musi wiedzić, czém on się żywił... i przekonywa się o tém przez autopsiję, któréj nigdy nie zaniedbywa. Majtek przedsiębiorący sekcyję, zakasawszy ręce, wyjmuje najprzód serce, wątrobę i resztę wnętrzności ze wszystkiém, czém się zwiérzę od 24 godzin żywiło. Zwykle są to, prócz innych morskich pokarmów, kawałki starego płótna, powrozów, wyrzucanych z okrętu, a najczęściéj żołądek jest próżny. W pewnéj podróży do Indyjów widzieliśmy jak złowiono haja, który był tak grzeczny powrócić naszemu staremu

doktorowi jego wydrzaną czapkę, którą mu kołysząca się lina zrzuciła w morze. Czapka ta zupełnie była nieuszkodzoną; haj nie chciał jéj nosić, ale doktor zapewne i dotąd jeszcze ją nosi.

— Ze Lwowa. —

Literackie doniesienie o wyszłych i wyjść mających polskich dziełach: »Wizerunki i roztrząsania naukowe,« wydane w Wilnie 1835 r. zawiérają w sobie: Część IX. 1) Krótki rys historyi moralnéj, wraz z wizerunkami charakterystycznémi celniéjszych moralistów. 2) Robert Maturin. 3) O postępie sztuki drukarskiéj, tudzież o jéj wpływie na taniość książek. 4) Rozmaitości: *a)* Słownik polsko-niemiecki, krytycznie wypracowany przez C. Mrongowiusza. *b)* Rękopis hetmana Żółkiewskiego: Początek i progres wojny moskiewskiéj za panowania k. j. m. Zygmunta III. i t. d., wydany w Moskwie r. 1835, przez Pawła Muchanowa, obok z tłumaczeniem rossyjskiém. *c)* Kanarek, powieść przełożona z francuzkiego przez S. M. R. — Część X. 1) Literatura, wymowa i poezyja Stanów Zjedn. półn. amerykańskich. 2) OElenschläger (poeta duński). 3) Rozmaitości: *a) Introductio in libros sacros veteris foederis usibus academicis accomodata,* z dr. F. Ackermann. *b)* Wiadomości obszerniejsze o pamiątkach, wydanych przez P. M. Ustrjałowa: Samuel Maszkiewicz i jego pamiętniki. *c)* O obowiązkach ludzi Sylwiusza Pellico, przekład przez P. J. *d)* Rozprawa o muzyce i skrzypcach, przez Hieronima Pomarnackiego. — Część XI. 1) Opisanie wody mineralnéj druskienieckiéj. 2) Jan Śniadecki w latach 1768—1789. Autobijografija. 3) Rozmaitości: *a)* Próbki pisma treści duchownéj z manuskryptów pozgonnych ś. p. Anioła Dowgirda. *b)* Wycieczki na stepy, przez Waszyngtona Irwinga. *c)* O komecie Halleja, z czytelni St. Petersburskiéj. *d)* Prospekt na: »Żywoty Świętych pańskich męczenników i ojców kościoła,« mające wyjść w Warszawie. — Część XII. 1) Poezyja ludu sławiańskiego. 2) Podania o Lazarze. 3) Przygody Marka. 4) Dr. Francia, dyktator Paragwaju. 5) Rozmaitości: *a) Z Horatii Flacci carmina recensuit P. Hofman Peerlkamp.* *b)* Dzieje starożytne narodu litewskiego, przez Teodora Narbutta; tom I. Mitologija. Recenzyja tego dzieła. *c)* Wstęp albo wiadomości przygotowawcze do historyi powszechnéj, przez A. L. Schlözera, przełożonéj na język polski. *d)* Wybór poezyi z pisarzów polskich, przez A. Pieńkiewicza; wiadomość o trzech wyszłych dotąd tomach tego wyboru. — »Wizerunki i roztrząsania naukowe,« (poczet nowy) tom. I. Wilno 1836: 1) Przemowa (w niéj jest oświadczone, że ten nowy poczet częściéj przedmioty religijne i moralne ogłaszać będzie, jużto w rozprawach, już w przykładach żywotów cnotliwych i bogobójnych mężów). 2) Filozofija religii chrześcijańskiéj. 3) Felix Neff. 4) Kantata dla dzieci pewnego dobroczynnego zakładu. 5) Rozmaitości: *a)* Rękopis zawiérający prace nieogłoszone drukiem księdza Wilhelma Kalińskiego; *b)* wyjątki z tego rękopisu. *c)* Zbiór sławnych processów kryminalnych w Niemczech, przez prezydenta Fuerbach'a. *d)* Kobiéta według zamiarów przyrodzenia i społeczności. A.

W Wilnie ogłoszono następujące uwiadomienie literackie: »Dla wielu nieprzewidzianych przeszkód *Znicz* nie mógł i nie może żadną miarą pokazać się przed oczyma czytającéj publiczności. Do zgaśnienia jego przyczyniła się nie mało trudna i opieszała składka podniety (prenumeraty), zaledwie na podsycenie 3ciéj części wydania zbiéranéj. *Znicz* przeto musiał zgasnąć, zgasł na zawsze i już więcéj ani błyśnie. Lecz wydawca jego dbały o dotrzymanie słowa łaskawéj publiczności danego, przedstawi jéj nieochybnie pod koniec roku idącego, na zgliszczu *Znicza*, sławną w mitologii litewskiéj księżniczkę *Birutę*; zdaniem Teodora Narbutta: *pannę nadzwyczaj rzadkiéj piękności, wielkiémi przymiotami duszy słynąca* i t. d. *Biruta* przyrzeka nieomylnie na czas naznaczony zjawić się we wszystkich księgarniach wileńskich, gdzie też mający bilety na ś. p. *Znicza* otrzymują jéj egzemplarze. Dla prenumeratorów *Biruty* cena biletu złp. 10.«

Krzeczkowski Józef.

Chociaż południowe prowincyje Francyi wielką ilość surowego jedwabiu wydają, nie mogą przecież dostarczać rękodzielniom w Nimes, Awinion, Lyonie i w. i. Muszą one wynagradzać potrzebom swoim przywozem z zagranicy, którytо przywóz rok rocznie najmniéj 60 milijon. franków wynosi. Ażeby téj stracie pieniędzy na przyszłość zapobiedz, rząd francuzki stara się usilnie o zaprowadzenie jedwabnictwa w prowincyjach północnych, z któregoto powodu na rozkaz króla Filipa w ogrodach Tuleryjach, w Vincens i w lesie Bulońskim 20,000 drzew morwowych zasadzono. Tą gałęzią gospodarstwa zaczęli się już gorliwie i prywatni zajmować, tak dalece, że w samym tylko departamencie Sekwany 400,000 drzewin morwowych zasadzono. Oby ten przykład dla dobra naszego i u nas skutkował!

Wynalazki w sztuce wojennéj w żadnym się czasie tak liczno nie pojawiają, jak w czasie pokoju, gdy w Anglii 130, w Francyi 270, w Niemczech 36 nowéj broni, i nowych ulepszeń, w 22 latach zrobiono. Niejaki pan Bormann, były kapitan saskiéj artyleryi, wynalazł sposób nieomylny trafnego kierowania dział i tak zwanych kartaczowych granatników, którytо sposób nie daleko Antwerpii doświadczony, okazał ten wypadek niezawodny, że takowa broń z niewypowiedzianą pewnością użytą być może, i w odległości 400 kroków cztérykroć razy większy skutek czyni, niż zwyczajne kartacze, a na 1000 do 1200 kroków połowę jeszcze tego skutku wywiera, kiedy zwyczajne kartacze w takiéj odległości już używanémi być nie mogą. Jeżeli tedy wielki rzeczoznawca Napoleon w piśmie swojém o Cezara wojnach mówiąc, zapewnia, że w skutek zaprowadzenia broni palnéj, wojny teraźniejsze bardziéj są morderczémi niż owe świata dawnego, w których tylko mianowicie zwyciężony wielką klęskę ponosił; o ileżto przyszły dziejopis wypraw Napoleona zmuszonym nie będzie nazywać je jako ostatniemi z lepszych jeszcze czasów, w których wojny nie były tak okropnie niszczące, jakiemi się przez wynalazek p. Bormanna i w. i. koniecznie stać muszą, jeżeli światłe narody, które już pojedynek między szczególnymi jak zbrodnią uważają i karzą, także i wojny, jako wielkiego pojedynku narodów prawem rozumu nie zastąpią, i ze zwyczaju nie wyprowadzą.

O emancypacyi kobiét nie jestto czcza rozgłoska. Pewna pani we Francyi, odbywszy wszystkie kursy szkolne, podała do wydziału medycznego w Paryżu i w Montpellier prośbę, aby jéj wolno było zdać examen doktoratu. Takowém żądaniem zdziwiła się nie mało wysoka *facultas,* odrzuciła prośbę; ale jmość nie dała się odstraszyć, ponowiła prośbę swoję do samego ministra, i mimo wszelkie przeszkody chce koniecznie doktorem zostać.

Liczono, że na wyspie Spichergen, która leży pod 20m stopniem północnéj szerokości znajduje się tylko 30 gatunków roślin; w Laponii, która leży pod 50° jest 343 gat.; w Islandyi pod 63° jest 353 gat.; w Szwecyi pod pod 55° jest 1,300 gat.; w marchii Brandeburskiéj pod 52° jest 2,000; w Piemoncie, pod 43°, 2,80; w Jamaice, pod 17°, 5,000; w Madagaskarze, pod zwrotnikiem raka, a 13m stopniem, więcéj niż 5,000 gatunków.

Czytamy w Kuryjerze angielskim: »Ważny wynalazek winniśmy panu Heathcoat, reprezentantowi z Tiveston; wynalazek ten dotyczé zastosowania pary do uprawy ziemij, i najpomyślniéjsze zapowiada wypadki.

Piérwsze doświadczenia z pługiem parowym pa. Heathcoat odbyły się w okolicy Bollo-Lemoore, i dowiodły ważności tego wynalazku. Użytek pary, zwłaszcza tam będzie bardzo wielki, gdzie grunt jest nader trudny do wykorczowania. Wynalazek ten zapowiada nową erę dla rolnictwa, zwłaszcza tam, gdzie prace około roli dotąd tylko bydłem się odbywały.

Że i drapieżne zwierzęta przez dobre i rozumne obchodzenie się z niémi, ułaskawionémi być mogą, nie mało mamy dowodów; przychylność ich do swoich ludzkich dozorców jest zadziwiająca; oto nowy przykład: Z południowéj Afryki wieziono do Londynu na pokładzie król. okrętu lwa ogromnego, któremu dano nazwę: książę. U tego księcia był jeden z majtków, mający nad nim dozór, w największych łaskach; ale dnia jednego pan dozorca spił się tak niemiłosiernie, że kapitan jego był zniewolonym ukarać go surowo. Wyniesiono ławę na pokład, i postawiono na przeciw żelaznéj klatki, w któréj książę mieszkał. Skoro się dozorca z szat rozbiérać zaczął, lew powstał, i zbliżył się, ile mógł, ku stronie, na któréj był jego przyjaciel. Gdy go zupełnie nagim ujrzał, zaczął się w klatce chyżo w koło obracać; ale kiedy piérwszy srogi raz padł na grzbiet dozorcy, lew cisnął z ócz łyskawicą, ryknął okropnie, i bił potężnie ogonem. Gdy zaś przyszło już ku temu, że krew z grzbietu nieszczęśliwego majtka pryskać zaczęła, wściekłość lwa rozjiskrzyła się do największego stopnia. Ryk jego był podobien do straszliwego gromu, ciskał sobą na wszystkie strony, wstrząsał grubémi, żelaznémi swego więzienia szczeblami, jakbyto wierzbowe pręty były, nakonicc widząc, iż znajduje zaporę nad swoje siły, zaczął się tarzać i taki jęk przenikający wydawać, że cała okrętowa osada do łez wzruszoną została. Kapitan zważywszy, iżby się księciu przecież klatkę przełamać powiodło, dał rozkaz kilku morskim żołniérzom nabić karabiny, wymierzyć, i miéć się w pogotowiu; ale ta groźba stała się tylko hasłem do ostatnéj rozjadłości zwiérzęcia, która tak dalece była straszliwą, że kapitan widział się być zmuszonym zaprzestać ukarania dozorcy, i kazał mu przez podwójne drzwi wejść do klatki, i zwiérzę uspokoić. Trudno opisać radość, którą lew okazał, gdy się do niego dozorca zbliżył. Objął go lekko łapami, jakby go serdecznie chciał uściskać, lizał mu grzbiet skrwawiony, pieścił się z nim w różny sposób, to go kładł, to go podnosił, słowem, wszystkich nie zaniedbywał starań dla okazania przychylności swojéj; długo trwało zanim się uspokoił i dozwolił majtkowi wyjść od siebie, i przez wiele dni okazywał swój gniew tym, którzy się z jego opiekunem tak okrutnie obeszli. Ileż ten lew nie zawstydził ludzi!

Pewna dama, słynąca z piękności, udała się nie dawno do parku w Paryżu w chęci widzenia orangutana. Zaledwie zbliżyła się do zwierzęcia, kiedyto wydarło jéj woreczek z chustką, i z takim uporem nie chciało go oddać, że nie podobna było mu odebrać; odtąd jak jaki talizman chowa tę chustkę, bawi się nią, i nikomu dotknąć jéj nie daje. Który z malarzy mógłby tę scenę wystawić w obrazie tego rodzaju jak Roqueplana: Lew zakochany.

Taniec w Hiszpanii. Jeżeli w innych narodach tańczy się tylko dla zabawy lub uciechy, w Hiszpanii dzieje się to z różnych powodów. W Hiszpanii tańczą przy urodzinach, tańczą przy ślubie, tańczą przy pogrzebie, tańczą przy procesyi. Rozmaite tańce hiszpańskie dzielą się na dwa główne gatunki, na domowe i publiczne. Owe są spokojne, łagodne, melancholijne i zawsze przyzwoitość nie przekraczające, te zaś są gwałtowniéjsze, śmielsze, zakochańsze, jednym słowem są: hiszpańskie. Najmizerniéjsze miasteczko ma swój teatr, a w nim tancerzów i tancerki. Jestto potrzeba *sine qua non.* Hiszpan łatwiéj się bez chleba obejdzie, aniżeli bez tańca; bez tańca nié ma w Hiszpanii ani radości, ani słońca, ani miłości. Taniec wszystko upięknia, uspokaja, wynagradza głód, ubóstwo, wojnę domową, dziesięciny, kajdany i t. d. Hiszpan mógłby się przez dzień cały obejść bez cygara, bez czokolady, ale bez tańca, uchowaj Boże! Piękna Hiszpanka zrzecze się splotów swoich długich, czarnych włosów, zrzecze się wachlarza, duenny, ale tańca, przenigdy! Taniec w Hiszpanii jest sprawą narodową. On jest językiem, jest pięknėm, żywém, miło-dźwięcznem narzeczem. Każda mina, giest, ruch, zwrot, spojrzenie, skok, jest czcionką w tém narodowém abecadle. Tam nie tańczą jak w naszych wymyślnych, sztucznych tańcach, nogami, ale duszą, która się ciałem stała. W Madrycie nié ma *Conservatorium,* w Hiszpanii nié ma żadnego zapłaconego tancmistrza; dla tego taniec nie wyrodził się i nie wykrzywił, bo został piętnem natury i obyczajów narodu. W Hiszpanii rodzi się człowiek tanecznikiem, równie jak się wszędzie poetą lub muzykiem urodzić może. Hiszpanija nie gawroni się cudzoziemczyzną.

Waterloo, cesarska zielona krowia kapusta. Dz. londyński *Globe* podaje następujące szczegóły o téj osobliwéj roślinie: Rzadka ta roślina, dawniéj prawie nieznana w Anglii i dopiéro od 3ch lat przez pana Fullart zaprowadzona, ma od 9 do 12 stóp wysokości, a 15 do 20 stóp obwodu. Pięć głów takiéj kapusty, jeżeli dojdą największéj objętości, dają przy stosownem użyciu, jak już doświadczano, 100 owcom albo 10 krowom dostateczne pożywienie na dzień jeden; przyczem karma z téj wybornéj rośliny nadzwyczaj prędko przyczynia się do poprawy i utuszenia bydła. P. Fullart zaręcza nadto, że wełna owiec, karmionych tą kapustą, nie tylko że wielkiéj miękkości nabywa, ale co więcéj, urasta na 25 cali (!) długości; i że krowy tym sposobem paszone i w większéj ilości i tłustsze dają mleko. Ojciec angielskiego gospodarstwa rolniczego, któremu wszyscy wierzymy, uznał tę kapustę za cud w świecie roślinnym. Gdy ją pokazano panu Coke w Norfolk, w roku przeszłym, rzekł tenże: »Panie Fullard, mówiłeś mi przed 3ma laty, że gospodarze z ulepszeniami swémi są dopiéro w połowie drogi; ta kapusta przekonywa, żeś prawdę mówił; jestto największy cud, jaki ziemia wydała. Roślina ta przed innémi pastewnémi ma tę wyższość, że nigdy ani w ilości, ani w gatunku nie chybia; i że po dwóch miesiącach rośnienia (zwykle ją w lipcu sieją), nawet na złym gruncie, byle jéj cokolwiek roślinnéj poddać ziemi, nalepiéj się udaje. U pana Brown, hurtownika perfumami, na ulicy Cheapside w Londynie, jedynie można nabyć tego nasienia. P. Brown każdemu z miłośników, nie tylko, że pokaże próby rośliny, ale nadto i wełnę z owiec, karmionych tą kapustą. Część nasienia zakupiono dla króla, i posłane takowe do Norfolkham przy Windsorze, na tegoroczny zasiew.

Zbytek wojskowy. Jeden z najpiękniejszych pułków za cesarza Alexandra był pułk gwardyi huzarów Czetwertyńskiego. Byłto pułkownik elegant, jakich rzadko. Wszystkie konie pułku jego były kare, a ta świecąca czarność jednej maści, odbijała przedziwnie od szkarłatnego uniformu, obłożonego przepysznem futrem. Broń, czapraki, siodła, ćmiły oko połyskiem złota. Każdy oficer nié miał konia, któryby 2,000 rubli nie kosztował, a Czetwertyński co roku dodawał z swojéj szkatułki na pułk 50,000 rubli. Daleko pułkiem pyszniéjszym wszakże był pułk kawalergardy za Pawła I. Wszyscy prości żołniérze byli maltańskimi rycerzami, synowie piérwszych rodzin w kraju. Mieli czerwony uniform i zbroj z lanego srebra z krzyżem zakonu na piersiach. Wszyscy połyskiwali klejnotami i złotem, i wszyscy mieli dzielne, arabskie konie.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.